

# Maliszewski, Stanisław

---

## Powstańcze losy rodziny Walterów

---

Almanach Muzealny 6, 231-242

---

2010

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## POWSTAŃCZE LOSY RODZINY WALTERÓW

„Jestem wysiedlona z Warszawy z dwojgiem wnucząt: 10-letnią Michaliną Walter i 7-letnim Mariuszem Walterem. Dzieci te są zupełnymi sierotami bez ojca i matki” – tak zaczyna się dramatyczna prośba Michaliny Kozłowskiej o przyjęcie osieroconych wnuków do Domu Dziecka w Częstochowie.

„Ojciec ich, były sędzia okręgowy Karol Walter, zamieszkały we Lwowie, został w dniu 9 IV 1940 r. aresztowany przez bolszewików i wywieziony, i ślad za nim zaginął. Matka ich, Maria z Kozłowskich Walterowa zaginęła wraz ze starszym synem w Warszawie w dniu 6 VIII [IX] br. Przeżyliśmy podwójną ewakuację, bo uciekliśmy bolszewikom od wywiezienia na Sybir, a teraz wyrzuceni z Warszawy bez możliwości zabrania czegokolwiek ze sobą. Nie mamy żadnych środków do utrzymania, żyjemy z pomocy RGO [...]”<sup>1</sup> – to tylko jeden z wielu listów pokazanych na wystawie *Wypędzeni z Warszawy 1944. Losy dzieci* prezentowanej w Muzeum Historycznym m.st. Warszawy (od 10 września 2007 do końca lutego 2008 r.) w ramach unijnego projektu BANWAR 1944.

Exodus ludności cywilnej po upadku Powstania Warszawskiego, widziany oczami dzieci, ma wymiar szczególny. Zebrane relacje (pisane oraz mówione) w ramach projektu badawczego BANWAR są zapisem zarówno traumatycznych przeżyć pokolenia dzisiejszych siedemdziesięciolatek, jak i zapisem szczegółów, na które nieraz nie zwracali uwagi dorośli. Jest to świat dzieci, którym przyszło żyć w okrutnych czasach. Ich relacje zostały uzupełnione dokumentami z tamtego okresu pochodzącymi z kilkunastu archiwów z terenu Polski.

Losy rodziny Walterów, wbrew treści listu Michaliny Kozłowskiej, zakończyły się szczęśliwie. Jej córka Maria Walterowa i najstarszy wnuk

<sup>1</sup> Archiwum Państwowe w Częstochowie, Polski Komitet Opiekuńczy w Częstochowie, sygn. 53, k. 175.



1. Michalina i Mariusz Walterowie w okresie okupacji



2. Michalina i Zygmunt Walterowie z nianią Józefą Rydz, okres okupacji



3. Michalina Walter z babcią Michaliną Kozłowską na Powiślu przy ul. Lipowej 4, okres okupacji

Zygmunt, jak się niebawem okazało, wcale nie zginęli w Powstaniu. Michalina i Mariusz Walterowie nigdy nie trafili do Domu Dziecka. Jak do tego doszło?

Dość szybko udało się ustalić, że 7-letni wówczas Mariusz to obecny twórca koncertu medialnego ITI. – Nic nie wiedziałem o liście babci – nie krył wzruszenia Mariusz Walter w rozmowie telefonicznej z autorką wystawy Izabellą Maliszewską. – Myślę, że siostra i starszy brat lepiej to wszystko pamiętają. Może zgodzą się na rozmowę – dodał.

List babci Michaliny, zamieszczony na wystawie i w katalogu, był dla całej rodziny Walterów zaskoczeniem i wywołał ogromne poruszenie.

– Jak to się stało, że pan ocalał? – zapytałem Zygmunta Waltera, który w czasie Powstania był 14-letnim chłopcem.

– Mieszkaliśmy na Powiślu przy ul. Lipowej 4. Załatwił nam tam mieszkanie nasz wuj Janusz Warnecki (znany aktor), u którego zatrzymaliśmy się po ucieczce ze Lwowa. Po wybuchu Powstania przenieśliśmy się do klasztoru siostr szarytek na Tamce, bo tam była dość dobrze zorganizowana opieka i aprowizacja. Utrzymywaliśmy zresztą kontakty z tym klasztorom wcześniej, bo matka, mając nas trójkę i nie mając możliwości zapewnienia nam wakacji, lokowała mnie przez dwa czy trzy lata w ogrodach szarytek, gdzie pracowałem przy pieleniu, zrywaniu pomidorów i różnych tego typu prostych czynnościach. Siostronom byłem zatem dobrze znany – opowiada Zygmunt Walter.



4. Michalina Walter przy ul. Lipowej 4, 1943 r.

- Babcia nasza w czasie Powstania została sama w mieszkaniu przy Lipowej, żeby pilnować dobytku. Doszliśmy do wniosku z matką, że babcię trzeba ściągnąć na Tamkę, bo już przyszła wiadomość, że Niemcy od strony Starego Miasta atakują Powiśle [od 3 września]. Biegłem po babcię i na ulicy odłamek pocisku rozerwał mi prawy bok. Przeturlałem się jakoś do pierwszej bramy i straciłem przytomność. Pamiętam, że była tam placówka PPS-u. Potem, nie wiem jakim cudem, przejęli mnie żołnierze Armii Krajowej. Może dlatego, że wielu ludzi mnie znało, wiedzieli, że w okolicy pęta się taki młody chłopak. Wcześniej pomagałem powstańcom przynosić spłonki do fabryki „Alfa-Laval”, gdzie produkowano granaty. Zostałem zanieiony do szpitala powstańczego przy ul. Pierackiego. Miałem wielkie szczęście, bo trafiłem do rąk doktora Stanisława Królikowskiego, który był lokatorem tego samego domu przy ul. Lipowej 4 i mieszkał piętro nad nami. On uratował mi życie, bo po usunięciu szczątków prawej nerki, doprowadził mnie do stanu, w którym

mogłem jeszcze wegetować. W międzyczasie żołnierze zawiadomili matkę, że zanieśli mnie na Pierackiego – wyjaśnia Zygmunt Walter.

- Matka odważyła się zostawić mnie i Mariusza z babcią (sama do tarła z Lipowej na Tamkę) i nianią Józią Rydz, cudownym człowiekiem, gotowym wszędzie z nami pójść. Pogodziliśmy się z tym bez hysterii. To było oczywiste, że skoro Zygmunt jest tak ciężko ranny i będzie operowany w takich warunkach, mama musi przy nim być – mówi Michalina Walter-Horst.

6 września Powiśle dogorywało. Niemcy, prowadząc zmasowany atak, wypierali powstańców z kolejnych ulic. Po bombardowaniach i ostrzale artyleryjskim wybuchały kolejne pożary. Oddziały z wysuniętych placówek musiały się wycofywać, aby uniknąć okrążenia. Wszyscy usiłowali się przedostać na drugą stronę Nowego Świata. Ci, którym się to nie udało, wpadli w ręce niemieckich oprawców. Nie było szans na ewakuację ciężko rannych ze szpitali.

- Matka cały czas była przy mnie, praktycznie została umiejscowiona w szpitalu na etacie salowej. Po pożarze budynku zostaliśmy wyniesieni na teren ogrodów. Niebawem wkroczyli tu Niemcy. Po usunięciu nerki nie wolno mi było pić, mogłem mieć tylko zwilżane usta. Jakiś Niemiec, widząc, że mam spieczone usta, przystawił mi manierkę... oplułem go. Do dziś pamiętam i nie zapomnę tego do końca życia, że ten człowiek mi powiedział: „Mein kind, ich verstehe alles”. Widocznie człowiek, który miał dzieci w moim wieku, dał mi do zrozumienia, że nie z nienawiści do narodu polskiego jest tutaj nad moją głową. Oczywiście, mógł mnie zastrzelić bez zastanowienia – łamię się głos Zygmunta Waltera.

Tymczasem 10-letnia Michalina z młodszym bratem Mariuszem, babcią i nianią zostali wypędzeni z budynku klasztornego przy Tamce.

- Ustawili nas w czwórki, no i pognali. Ja pamiętam, że byłam kretyńsko ubrana w jakiś kożuszek, a tu pali się... Nigdy takiego upału nie było. Co chwilę nas zatrzymywali, szczególnie przy Wolskiej. Myśmy szukali jakiejś kałuży, żeby umoczyć chusteczkę, bo oddychać nie było czym. I tak wlekliśmy się do Dworca Zachodniego. Tam nas wsadzili do przyzwwoitych wagonów i powieźli do Pruszkowa. Usiedliśmy w tym obozie pod jakimś filarem czy słupem i nagle straciłam z oczu babcię. Poszłam jej szukać i na szczęście znalazłam. Nie wiem, co by się stało, gdybyśmy się tam wszyscy pogubili – relacjonuje Michalina Walter-Horst.

Zygmunt Walter z matką zostali przewiezieni z innymi rannymi do szpitala przy ul. Płockiej. Najgorsze tylko z pozoru mieli za sobą.

- Matka próbowała, za resztkę uratowanych przez siebie walorów majątkowych, wywieźć mnie z Płockiej do szpitala w Żyrardowie, gdzie ordynatorem był przyjaciel wuja Janusza Warneckiego. Niestety, nie udało się. Jechaliśmy furmanką żołnierzy Wehrmachtu, którzy dowozili aprowizację do szpitala, i na jednym z przejazdów kolejowych zostaliśmy zgarnięci przez gestapo i wyeksportowani do obozu w Pruszkowie. Tam byliśmy chyba przez tydzień. Wspomnienia straszne, bo ja powinienem mieć opatrunki zmieniane dwa razy na dobę, a miałem zmieniane raz na trzy dni, jak się udało. Wszy



5. Rodzeństwo Walterów przed Powstaniem. Stoją od lewej: Zygmunt, Mariusz, cioteczna siostra Magdalena Warnecka i Michalina; z przodu dziecko nieznane

po tych ranach łążyły. Jakimś cudem matka załatwiła zwolnienie z tego obozu i dotarliśmy do szpitala w Żyrardowie. Zostaliśmy przyjęci, ale ja na domiar złego dostałem szkarlatyny. Musiałem być przeniesiony na oddział zakaźny i trafiłem do doborowego towarzystwa wywiezionych z Warszawy prostytutek, które nie mnie, bo ja tam jęczałem, bo mnie bolało i swędziało, ale matce dokuczaly tak, że nie wiem, jak ona to wytrzymała. Wytrzymała to dla mnie. Po dojściu do sił na tyle, że mogłem się samodzielnie poruszać, ordynator w jakiś sposób załatwił z Niemcami, że mogliśmy wyjechać - opowiada Zygmunt Walter.

W tym samym czasie, gdy ranny i chory Zygmunt Walter leżał w szpitalu w Żyrardowie, jego młodsze rodzeństwo, Michasia i Mariusz, pasali krowy we wsi pod Sochaczewem. Nie mieli pojęcia, że mama i brat żyją.

- Z Pruszkowa zawieźli nas do Sochaczewa. To już był wieczór. Znaleźliśmy się tam na targowisku czy rynku. Nie mieliśmy nic, spaliśmy na gołej ziemi. Na drugi dzień wezwano chłopów z okolicznych wsi i każdy z nich, w zależności od wielkości gospodarstwa, miał zabrać ileś osób. Trafiliśmy do bogatego chłopca. Babcia obszywała córki i żonę gospodarza, Józia, nasza niania, chodziła pracować w pole, a ja z Mariuszem miałam paść krowy. To już była tragikomedya, ponieważ te krowy prowadziły nas, gdzie chciały. Ale pamiętam, że byłam dumna z tego zajęcia - wspomina Michalina Walter-Horst.

- Ta wieś to się chyba Wójtówka nazywała, 8 może 10 kilometrów od Sochaczewa. Gospodarze byli bardzo życzliwi. Pamiętam, że na śniadanie to siadaliśmy razem z nimi przy stole. Takiego pysznego białego żuru to wcześniej nie jadłam i nie będę jadła. Zresztą po wojnie babcia korespondowała z tymi ludźmi. Niestety nie pamiętam ich nazwiska - żałuje Michalina Walter.

Wieś pod Sochaczewem była tylko przystankiem w dalszej wędrówce babci z wnukami. Michalina Kozłowska poszukiwała kontaktu z synami, ciągle pisała jakieś listy. Postanowiła wyjechać z wnukami do Częstochowy, gdzie mieszkali dalecy krewni. Wdowa po zmarłym kuzynie nie odmówiła pomocy, ale sama klepała biedę. Żeby przeżyć, trzeba było korzystać z pomocy RGO. Zapewne wtedy Michalina Kozłowska postanowiła napisać dramatyczny list do Domu Dziecka, ale wnukom na razie nic nie mówiła. Michasia miała trafić do sióstr nazaretanek, a Mariusz do braci szkolnych. Zanim dostała odpowiedź, przyszedł upragniony list od młodszego syna - Antoniego z Kasinki Małej nad Rabą.

- Gdyby nas oddano do Domu Dziecka i jeszcze rozdzielono, to byłaby tragedia. Myśmy byli tak zżyci z Mariuszem, że naprawdę byśmy się połamali psychicznie do końca. To by był gwóźdź do trumny. Jak ja czytałam teraz ten list babci, to pomyślałam, że Pan Bóg jest wielki... że myśmy się znaleźli u wuja Antoniego w tej Kasince - mówi Michalina Walter.

Michalina Kozłowska z wnukami i nianią czym prędzej pojechała do Krakowa. Tam już czekał na nich Janusz Warnecki, który też znalazł schronienie w Kasince.

„Po dłuższej tułaczce osiedliśmy w Kasince Małej koło Mszany Dolnej. Przejorny mój brat wynajął część willi w Kasince i cała nasza rodzina dążyła ze wszystkich krańców Polski do tego stosunkowo bezpiecznego miejsca” - pisał Janusz Warnecki<sup>2</sup>, który w Powstaniu Warszawskim pod pseudonimem „Madzik” walczył w zgrupowaniu „Bartkiewicz”. Swojemu dowódcy ppor. „Robertowi” (Kazimierzowi Wallmanowi) i kolegom z plutonu poświęcił piosenkę napisaną do melodii „Serce w plecaku”. Szybko stała się szlagierem oddziału<sup>3</sup>.

<sup>2</sup> J. Warnecki, *Najdłuższy mój monolog*, Warszawa 1971, s. 304, 306.

<sup>3</sup> I. Klemińska (Maliszewska), *Poezja powstańczej Warszawy. Antologia*, Warszawa 1994, s. 45; I. Maliszewska, S. Maliszewski, *Śródmieście Północne. Warszawskie Termopile 1944*, s. 61, 62.



„Życie zawdzięczam ppor. Robertowi. W czasie ostatniego nalotu i próby ataku czołgów runęły resztki frontowego budynku. Robert bronił odsłoniętego podwórza z garstką powstańców. Mnie posłał po leki z polowej apteczki i polecił zejść z nimi do piwnicy w oficynie” – wspominał Warnecki<sup>4</sup>. Z całego plutonu ocalało zaledwie kilka osób. Ppor. „Robert” zginął pod gruzami placówki przy Królewskiej 35.

Po kapitulacji Powstania Janusz Warnecki chciał uniknąć niewoli, aby nie rozłączać się z żoną i córką Magdą. Zameldował o tym dowódcy kompanii por. „Andrzejowi Prawdzicowi” (Kazimierzowi Czyżowi), który wyraził zgodę. Rodzina Warneckich dotarła szczęśliwie do Kasinki.

Na Janusza Warneckiego czekała jeszcze jedna misja, jakże nieoczekiwana. Któregoś dnia przyszła wiadomość, że zaginiona w Powstaniu Maria Walter wraz z synem... jadą do Kasinki. „Otrzymałem telegraficzną wiadomość o rychłym przyjeździe siostry z rannym synem. Pojechałem więc po siostrę do Krakowa i oczekiwałem przez kilka dni na dworcu. Wreszcie dojechali. Należało czym prędzej znaleźć się w Kasince. Na wynajęcie auta nie starczyło pieniędzy; transporty z Borku Fałęckiego na Nowy Targ i Zakopane jeździły stale zapchane; próbowałem więc zabrać się wojskową ciężarówką. Udaliśmy się do Borku na rekonesans. Na posterunku żandarmerii odprawiono mnie z kwitkiem, choć mniej brutalnie niż bywało dawniej. Zbliżający się gwałtownie front radziecki kruszył powoli niemiecką butę. Możliwość jazdy pociągiem odpadała. Straszliwy ścisk, kilkakrotne przesiadki, obawa przed wysadzeniem toru przez partyzantów, zwłaszcza na trasie Nowy Sącz – Chabówka. Czy w takich warunkach dowiozłbym cało małego rekonwalescenta?” – martwił się Janusz Warnecki<sup>5</sup>.

Tymczasem z pomocą pospieszyła bufetowa z pobliskiej budki z piwem, dobrze znająca okolicznych Niemców. – Ma pan na pół litra i zakąskę? – zagadnęła Warneckiego. Błyskawicznie wyjęła spod lady dwie butelczyny, 50 papierosów i odkroiła płat golonki. – Panie wachmeister! – zawołała. Gruby Niemiec ochoczo spałasował golonkę, a kolejne kieliszki wódki zrobiły swoje. Początkowo dość obojętny, stopniowo łagodniał. Gdy nowa ćwiartka wraz z papierosami wsiąknęły w kieszeni jego munduru, Niemiec stał się serdeczny i przyjacielski. – Ja, natürlich, klopiec chora, krank, Sie müssen sofort mit ihm nach Hause. Nieprawdaż, Herr Doktor? – zwrócił się do Warneckiego.

„I tak z promocji zapitego wachmistrza uzyskałem stopień naukowy. Czekaliśmy jeszcze godzinę, przyjechało kilka wozów załadowanych po brzegi, wreszcie znalazło się miejsce w wojskowej ciężarówce. Służbiście zameldował się oficerowi prowadzącemu konwój. Odmieniał we wszystkich przypadkach tytuł doktora wskazując na mnie, pomógł ułożyć chłopca w aucie i urzędowym lizakiem dał znak do odjazdu. Gdybym nie wiedział, ile wyżyłopał, nie byłbym pewny, czy jest zawiany. Oficer zresztą

<sup>4</sup> J. Warnecki, dz. cyt., s. 302, 303.

<sup>5</sup> Tamże, s. 306, 307.

sprawał podobne wrażenie” – wspominał Warnecki<sup>6</sup>. Podróż zakończyła się szczęśliwie, bo tym razem partyzanci nie zaatakowali niemieckiej ciężarówki.

– Brat wyglądał jak kościotrup, ale przyjechał. W Boże Narodzenie 1944 r. byliśmy wszyscy, oprócz ojca. W 1940 r., po aresztowaniu przez NKWD, siedział w Brygidkach Lwowskich. Potem nie mieliśmy już żadnych wieści o ojcu. Myśmy po wojnie po wszystkich organizacjach na całym świecie pisali z uporem maniaka. I nigdy nigdzie śladu – opowiada Michalina Walter.

– Raptem zobaczyłem normalny świat, spokojny, gdzie się krew nie leje. Szybko dochodziłem do zdrowia, goiły się rany, na szczęście nie było żadnych komplikacji, wymagających hospitalizacji. Opatrunki zmieniała mi matka, nauczona w szpitalu, praktycznie wygoiłem się pod matczyną opieką – wspomina Zygmunt Walter.

– Wuj Antoni, z ramienia RGO organizował pomoc dla wysiedleńców z Warszawy. Sprowadził dwa małe koniki (nie wiem, czy to były huculskie), które służyły do transportu zaopatrzenia. Ponieważ wujek uważał, że najlepszym lekarzem na stesy psychiczne jest praca, powierzył mojej opiece te koniki, w zakresie karmienia i powożenia nimi do Mszany Dolnej. I to mi zajęło myślenie o wszystkim innym, było lubianym przeze mnie zajęciem, wiedziałem, że robię coś pożytecznego – opowiada Zygmunt Walter.

W 1945 r., po przejściu frontu, przedsiębiorczy Antoni Kozłowski załatwił mieszkanie w Krakowie dla licznej, bo kilkunastoosobowej rodziny.

– To było przepiękne mieszkanie, jedyny dom w Ryńku Starego Miasta, tam się mieści teraz lokal „Feniks”. My na piątym piętrze, sześć dużych pokoi i dwie służbówki. Jak ja wchodziłam do tego domu, to czułam się jak dziewczynka od krów wprowadzona na pałac. Myśmy byli tak nędźnie ubrani, tego nie da się opowiedzieć. Chociaż nasza babcia na ten wyjazd uszyła z takich szarych koców garniturek Mariuszowi, z zielonymi guziczkami, a mnie kostiumik z czerwonymi guziczkami. Bardzo elegancko. A co na nogach, to mniejsza z tym – mówi Michalina Walter.

– Natychmiast po przyjeździe do Krakowa wylądowałem w szpitalu. Do prawego płuca dostały się jakieś paprochy. Z wierzchu to się zagoiło, a w środku się świniło. I zaczęły się punkcje. Miałem jedenaście punkcji prawego płuca, ściągali mi najpierw ropę, potem wodę, no ale w końcu to wszystko wysuszyli. Straciłem jeden rok szkoły, w związku z tym maturę zdałem z rocznym opóźnieniem – wylicza Zygmunt Walter. – W Krakowie tak długo, jak tylko można było, to miałem się wszystkich możliwych prac, włącznie z funkcją szatniarza w Stowarzyszeniu Księgowych, włącznie z pomocą matce jako szatniarz w teatrze „Siedem Kotów”, a matka bufet tam prowadziła. Uważałem za swój obowiązek, że powinienem pracować i pomagać matce w utrzymaniu nas wszystkich – dodaje<sup>7</sup>.

<sup>6</sup> Tamże, s. 308.

<sup>7</sup> Zygmunt Walter zmarł 12 listopada 2008 r.

- Jak miałam 17 lat i przyszło wybierać studia, to widząc, jaka jest nędra w domu, zdecydowałam się na Politechnikę Krakowską, chociaż to nie był mój wymarzony kierunek. Uważałam, że jak skończę Politechnikę, to będę dobrze zarabiać. Mariusz, po skończeniu Technikum Sanitarnego, poszedł na Politechnikę Gliwicką na jakiś koszmarny wydział. Robił pracę magisterską z odpylania pyłów dymnicowych, no coś takiego, że ja bym się nie podjęła tego skończyć. No i naturalnie dnia nie przepracował w swojej specjalności - opowiada Michalina Walter.

- Potem, począwszy od najstarszego brata, przenieśliśmy się wszyscy do Warszawy. W Krakowie jakoś żeśmy się nie zasymilowali, czuliśmy się odrębni psychicznie..., ale z drugiej strony Kraków był wspaniały. Na uczenie się, sport i zabawę. I taki szczęśliwy los mnie spotkał, że ja się znalazłam w najbliższej grupie Karola Wojtyły. Tak, że najserdeczniejsze, największe i najwartościowsze wspomnienia mam związane z jego bliską obecnością, z jego przyjaźnią. Narty, wycieczki, wizyty w domu. Karol Wojtyła udzielał mi ślubu w Kościele Mariackim, chrzcił moją córkę na Wawelu. Mam jego korespondencję - wyciąga listy od przyszłego Papieża Michalina Walter.

Losy powstańcze rodziny Walterów są dosyć typowe dla tego okresu. Tak jak 550 tysięcy warszawiaków przeszli przez obóz przejściowy w Pruszkowie. Babcia z wnukami i nianią jako osoby niezdolne do pracy zostali wywiezieni na teren Generalnej Guberni. Mieli o tyle szczęście, że we wrześniu 1944 r. segregacja w Pruszkowie nie była już tak ostra. Niemcy wyciągali z tłumu uchodźców głównie mężczyzn i młode kobiety w celu wysłania ich na roboty do Rzeszy. Ci, co trafiali do Pruszkowa wcześniej (mieszkańcy Woli, a następnie Ochoty), bardzo często byli wywożeni do obozów koncentracyjnych bez względu na wiek. Potwierdzają to relacje 12-letniej Eulalii Matusiak i 13-letniej Danusi Napiórkowskiej zebrane w ramach projektu BANWAR<sup>8</sup>.

Wysiedleńcy, z marnymi tobołkami, pozostawieni własnemu losowi, szukali krewnych i bliskich, którzy mogliby ich przygarnąć. Stąd liczne wędrówki warszawiaków, przemieszczających się pociągami (co nie było łatwe), wozami konnymi okolicznych chłopów, a nawet pieszo.

Częstochowa była jednym z najbardziej obleganych przez warszawiaków miast. Niektórzy zostali tu do końca wojny, dla Walterów był to przystanek w dalszym exodusie.

Michalina Kozłowska z wnukami miała szczęście jeszcze w Wójtówce, trafiając do porządných i życzliwych gospodarzy. Dodatkowo ratowało ją to, że dobrze szyła, a umiejętności krawieckie były wysoko cenione zarówno w okresie okupacji, jak i ciężkich powojennych latach.

Stosunek do warszawiaków na wsiach był różny. Jedni dzielili się ostatnią kromką chleba i okazywali współczucie, inni odnosili się do wysiedleńców z niechęcią, uważając ich za intruzów i darmozjadów. Tym niemniej ich los

<sup>8</sup> *Wypędzeni z Warszawy 1944. Losy dzieci*, katalog wystawy, Warszawa 2007, s. 73-75, 100, 102, 103.

był i tak lepszy niż tych, co zostali wywiezieni na roboty do Rzeszy. W Niemczech do pracy zmuszane były nawet małe dzieci. Wypędzona z Woli 6-letnia Grażyna Dorota Duchniak razem z rówieśnikami zbierała chrust w lesie<sup>9</sup>.

We wszystkich relacjach widać, jak różny był stosunek ludzi do ludzi. Eugeniusz Spiechowicz, 15-letni żołnierz Powstania Warszawskiego, ciężko ranny na Żoliborzu, został przyjęty wraz z matką na plebanii w Ujeździe koło Tomaszowa Mazowieckiego. Miejscowy proboszcz kazał chłopcu pracować w polu przy zbieraniu ziemniaków, skutkiem czego otworzyły mu się wszystkie rany. Lekarz z Tomaszowa Mazowieckiego udzielił chłopcu pomocy, nie biorąc za to honorarium i dodatkowo zaopatrzył w niezbędne środki opatrunkowe i leki. Był oburzony, że rannemu kazano tak ciężko pracować<sup>10</sup>.

Ranny Zygmunt Walter przeżył tylko dzięki matce. 6 września 1944 r. szpital powstańczy przy ul. Pierackiego 3/5 (obecnie Foksal), po serii pocisków zapalających tzw. krów, stanął w płomieniach. Przebywało w nim ponad 200 rannych. Maria Walterowa szybko złapała kogoś do pomocy, by wynieść syna. Niektórzy ranni ratowali się, wyskakując z piętér na ulicę. Około 60 rannych, którzy nie mogli się poruszać i których nie zdołano wynieść, spłonęło żywcem.

Tylko dzięki swej determinacji Maria Walterowa trafiła w końcu z synem do szpitala w Żyrardowie. Po drodze kilkakrotnie musiała przekupić Niemców resztkami wyniesionych kosztowności. Pod koniec wojny Niemcy byli na tyle zdemoralizowani, że tego rodzaju argumentacja trafiała do nich dość łatwo. Potwierdza się to zresztą w innych relacjach, dotyczących chociażby segregacji w Pruszkowie. Od złota czy biżuterii zależało, czy kontrolujący Niemiec uznał kogoś za zdolnego do pracy fizycznej lub nie i czy wysłał na roboty do Rzeszy.

Walterowie przeżyli podwójny exodus. W 1940 r. uciekali przed Sowietami ze Lwowa, cztery lata później podzielili los warszawiaków. Wbrew pozorom, nie oni jedni. W okupacyjnej Warszawie znaleźli się wysiedleńcy z Poznańskiego, Pomorza czy Bydgoszczy. Jacek Fedorowicz, rówieśnik Mariusza Waltera, mieszkał przed wojną z rodzicami w Gdyni. W 1939 r., tuż przed wybuchem wojny, pani Fedorowiczowa z dwuletnim Jackiem przyjechała do Warszawy. Później Niemcy wysiedlali brutalnie Polaków z terenów przyłączonych do Rzeszy. Na spakowanie dobytku dawano ludziom godzinę.

Powojenne losy warszawiaków też ułożyły się różnie. Wiele osób nie wracało do stolicy, bo nie mieli do czego wracać. Widok ruin i zgliszcz był zatrważający. Ci, co zdecydowali się tu przyjechać jeszcze zimą bądź wiosną 1945 r. i zobaczyli jak wygląda ich rodzinne miasto, nieraz wyjeżdżali z powrotem i już nie wracali do Warszawy lub wracali dopiero po latach (wśród nich Walterowie). Zresztą nie tylko warunki bytowe tu decydowały. Często rodziny AK-owskie, w obawie przed represjami stalinowskimi, osiedlały się gdzie indziej. Stąd tak wielu warszawiaków rozproszonych jest po całej Polsce. I nie tylko Polsce.

<sup>9</sup> Tamże, s. 112.

<sup>10</sup> Tamże, s. 175, 176.

Osoby wywiezione do Niemiec, po zakończeniu wojny często nie spieszyły się z powrotem do kraju, czekając na rozwój politycznych wydarzeń. Wielu ludzi nie chciało wracać do komunistycznej Polski, próbując ułożyć sobie życie na Zachodzie.

W międzyczasie do odbudowującej się Warszawy zaczęła przybywać masowo ludność napływowa ze wsi i małych miasteczek, zmieniając całkowicie strukturę demograficzną miasta.

Prawdziwych warszawiaków pozostała garstka. Do Warszawy wrócili najwytrwalsi, najbardziej przywiązani do stolicy, a także ci, co nie wyobrażali sobie życia gdzie indziej. Był to chyba zresztą naturalny odruch. Wrócić do tego, co utracone, i spróbować od nowa.